EPOKA
TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 26 lutego 1933 R. | NR. 9 (22)

Śmierć sensacji i obraz świata

W obronie czci

Kornet samarytanki

W kraju grabieży

Przeraźliwe żony

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Teatr.

AUTORZY: WASOWSKI. RUFF. ROGOWICZ. CZARNOWSKI. KORNACKI. MICHAŁOWSKI. USTUPSKA.

C

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

ABERACJA

W dwutygodniku „Szczerbiec" (Nr. 4), organie młodzieży z Obozu Wielkiej Polski ukazał się artykuł p. t.: „Dziedzictwo przeszłości" o powstaniu 63-go roku. Czytamy tam, co następuje:

„Powstanie styczniowe wywołane zostało przez masonerję w interesie żydostwa oraz w interesie Prus, któremi się masonerja zawsze opiekuje, — a wywołane zostało nie na pożytek, lecz na szkodę Polski. Dzielni chłopcy, którzy do powstania poszli, uczynili to w przeświadczeniu, że służą Ojczyźnie — i przeświadczenie to przypieczętowali swą krwią. Ale ci, co ich do walki nieuchronnie przegranej w najnieodpowiedniejszym dla Polski momencie popchnęli, — ci żydowscy rabini, co w roku 1860 szli w Warszawie na czele polskich pochodów ulicznych i ci polscy członkowie lóż, którzy wbrew głosom polskich patrjotów rzucili hasło powstania — ci wiedzieli dobrze, do czego zmierzają. Chodziło im o osłabienie narodu polskiego, o upuszczenie mu żywej krwi, o wytępienie najdzielniejszych patrjotycznych żywiołów młodego polskiego pokolenia, o rozkład całego życia społecznego na ziemiach, które mają się stać żerowiskiem dla Żydów. Chodziło im o wytępienie polskości na kresach wschodnich, gdzie poza Polakami jedynym silnym i niezależnym żywiołem są Żydzi. I chodziło im o poparcie imperjalistycznej polityki Bismarcka, chcącego uczynić Prusy największą w Europie potęgą. Powstanie cel swój spełniło. Podrażniony kolos rosyjski runął na Polskę i przywalił ją swoim ciężarem. Polska spłynęła krwią, — kwiat młodzieży polskiej uległ wytępieniu. Życie polskie zostało zduszone, zdławione, ubezwładnione. A że Rosję nie stać było na to, by na miejsce życia polskiego stworzyć w Polsce życie rosyjskie — więc powstało wolne pole dla rozkwitu żydostwa."

Jeżeli coś nie wymaga komentarzy, to chyba ten dokument umysłowej aberacji.

SZTUKA I ARTYŚCI

Na odbytem w Krakowie dorocznem zebraniu przyjaciół Czasu, toczyła się interesująca dyskusja w sprawach kulturalno - artystycznych. Pouczające, pełne wymowy dane przytoczył w swem przemówieniu prof. rektor K. Jarocki:

„Wartość sprzedanych biletów rocznych w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, którego budżet całkowity zamyka się w cyfrze 70.000 złotych, spadła w 1932 r. o 7.940 zł., zaś biletów wstępu o 7.711, czyli razem o przeszło 15.000 zł. Jest to spadek szalony. Warszawa jest miljonowem miastem, Kraków oczywiście nie może dawać tamtejszych możliwości w dziedzinie sprzedaży dzieł plastycznych. W r. 1930 sprzedano w Krakowie prywatnym odbiorcom dzieł malarskich za 23.000 (w Warszawie za 6.000 zł.), w 1931 prywatnych zakupów w Krakowie dokonano na sumę 12.000 (w Warszawie 8.000 zł.), w 1932 za 3.230 zł. w Krakowie (w Warszawie za 11.500 zł.). Dane te wskazują, jak nieproporcjonalny jest stosunek wartości pieniężnej konsumcji artystycznej już nietylko do istotnych potrzeb materjalnych malarzy i plastyków — ale do samej wartości wkładu gotówkowego, włożonego przez nich w wykonane dzieła artystyczne. Potwierdza to również inna statystyka. Oto przeciętnie na wystawie w Pałacu Sztuk Pięknych w Krakowie jest 140 obrazów, 10 wystaw rocznie, czyli 1.400 obrazów. Liczmy tylko, że każdy malarz przeciętnie wkłada w obraz 150 zł., to otrzymujemy sumę 210.000 zł., oczywista nie liczę tu wkładów takich, jak na życie, na rodzinę, na opłacenie pracowni i t. d. Za 210.000 zł. efektywnego wkładu otrzymali malarze krakowscy w ub. r. ekwiwalent wartości 3.230 zł. Czyż więc pesymizm nie jest u nas usprawiedliwiony?

Przed wojną było znacznie lepiej. W Krakowie w r. 1913 w dzień otwarcia wystawy sprzedawano obrazów za 80.000 kor., w Warszawie w 1913 r. Wyczółkowski sprzedał za 45.000 rubli. To było oparcie o społeczeństwo. Dziś ludzie nie tylko nie kupują obrazów, ale nawet boją się ze względów podatkowych publicznie pokazywać te, które posiadają. Właściciele obrazów na ostatniej wystawie ku czci Wyspiańskiego prosili organizatorów wystawy, aby nie umieszczali ich nazwisk w katalogu, by nie zwrócić na siebie uwagi urzędów skarbowych. Do niedawna jeszcze jakieś 70% malarzy miało nędzne utrzymanie dzięki posadom nauczycieli rysunków w szkołach średnich. Dziś i to się skończyło, bo naukę rysunków ograniczono do 3 pierwszych klas. Mówca nie podtrzymuje poglądu, aby metoda nauczania tego przedmiotu była dobra, ale jednak nauka rysunków w szkole przyczyniała się do szerzenia kultury sztuki. Naukę tę winno się rozpoczynać od najmłodszego wieku, trzeba uczyć dziecko rozróżniać piękne od brzydoty, patrzeć okiem plastycznem, rozszerzać zakres jego wrażliwości. Tymczasem zamiast tego wprowadza się niemal jednostronne wychowanie fizyczne, sporty i t. p. Nie jest ścisłem twierdzenie, jakoby w innych państwach stosunek do sztuki i jej krzewicieli był taki sam z powodów finansowych. Pruskie ministerstwo oświaty przesłało pismo do wszystkich ministerstw, aby zatrudnić wszelkiego rodzaju artystów przy wszelkich podejmowanych budowlach i w ten sposób przynajmniej przyjść im z pomocą. Gdzieindziej widzimy to samo".

KRÓLOWA SPELUNEK LONDYŃSKICH

Zmarła ostatnio w Londynie Mrs. Kate Meyrick, właścicielka kilku najdroższych i o najgorszej reputacji spelunek nocnych Londynu. W związku z jej śmiercią prasa angielska zaznacza, iż jedna z córek Mrs. Meyrick jest żoną hrabiego de Kinoull, druga żoną lorda Clifford'a, podczas, gdy matka była rok rocznie karana grzywną wysokości 3 do 4 tysięcy funtów szterlingów, oraz parotygodniowem lub paromiesięcznem więzieniem za różnego rodzaju ciemne sprawy, będące w jej „lokalach" na porządku dziennym.

LEPIEJ PÓŹNO, NIŻ NIGDY

W „Dzienniku Ustaw" Nr. 9 z dnia 15 b. m. ogłoszona została ustawa o zniesieniu kar cielesnych w szkołach na obszarze b. zaboru pruskiego. Ustawa ta uchyla §§ od 50 do 53 części II tyt. 12 powszechnego prawa krajowego dla państw pruskich, oraz § 10 regulaminu szkolnego dla szkół elementarnych prowincji pruskiej z dnia 11 grudnia 1845 roku.

BEZMYŚLNA AKCJA

W pismach i stowarzyszeniach ukraińskich rozwijana jest — ostatniemi czasy na dość szeroką skalę— akcja pod hasłem abstynencji.

Nie będzie to z naszej strony żadna rewelacja, jeśli stwierdzimy, że akcja ta ma charakter polityczny i wymierzona jest przeciw skarbowi państwa. Nacjonaliści ukraińscy bynajmniej tego nie ukrywają. Walka z wyrobami monopolów państwowych nie ma tu nic wspólnego z motywami hygjeny, czy oszczędności.

Jeżeli poruszamy tę sprawę, to dlatego, by dać pouczający przykład, do jakiej bezmyślności doprowadzają pewne metody walki nacjonalistycznej.

Otóż walka z państwowym monopolem tytoniowym, prowadzona na terenie Małopolski Wschodniej, może przynieść krzywdę... Ukraińcom, na tym bowiem terenie oni właśnie stanowią znakomitą większość właścicieli plantacji tytoniowych. A to jest pozycja w życiu gospodarczem Ukraińców całkiem poważna.

Z tego już względu ową abstynencką akcję można uważać za nieodpowiedzialną demagogję.

Jaknajdalej stoimy od tych obozów, które przeciwstawiają się uprawnionym żądaniom narodu ukraińskiego, nie znaczy to jednak, byśmy zamykali oczy na robotę krańcowo bezmyślną, wymierzoną zarówno przeciw interesom skarbu państwa, jak i części społeczeństwa ukraińskiego.

Trzeba zaznaczyć, że skarb państwa nie wyrzeknie się dochodów, które stanowią podstawę budżetu państwowego. I gdyby istotnie odczuł dotkliwy skutek tego rodzaju akcji, musiałby uciec się do szukania ekwiwalentów podatkowych, co znowu nie leżałoby w interesie obywateli Ukrainców.

Czynniki powołane powinnyby zareagować na takie formy walki politycznej przez odpowiednią akcję uświadamiającą wśród społeczeństwa ukraińskiego.

NOWA INFLANCJA

Fałszowanie pieniędzy papierowych odbywa się w Stanach Zjednoczonych na olbrzymią, prawdziwie amerykańską skalę, zwłaszcza od roku 1929-go. Powódź fałszywych banknotów rozpoczęła się wkrótce po nadejściu obecnego okresu „depresji".

Władze skarbowe Stanów Zjednoczonych obliczają, że od roku 1929 puszczono w kraju fałszywych pieniędzy na przeszło trzydzieści miljonów dolarów. W ostatnim zaś dziesiątku lat puszczono w obieg fałszywych pieniędzy na przeszło 75 miljonów dolarów.

ŚMIERĆ SENSACJI I OBRAZ ŚWIATA

Ze wszystkich stron globu nadchodzą codziennie wiadomości, które zwykliśmy nazywać sensacjami, a które przez swą częstotliwość i mnogość tracą charakter sensacji. Rzecz niezwykła staje się pospolitą, to, co kiedyś wywierało wrażenie najsilniejsze, nie budzi już żywszych emocyj.

Sensacje polityczne, społeczne, obyczajowe, kryminalne zbladły, niosą bowiem nadmiar wydarzeń „nadzwyczajnych", które przez to straciły walor rzeczy wyjątkowej. Sensacja codzienna zamiera i stąd— słabnące powodzenie krzykliwych brukowców. Jedna to jedna z tragedji nadprodukcji. Tragedja dla wydawców i dla dziennikarzy. Przesycili swój rynek. Czytelnik natomiast nie ma tu powodu do zmartwienia, a jego intelekt odniesie niewątpliwą korzyść: dzięki oswojeniu się z „sensacją", która nią być przestała, czytelnik sąd swój o wszelkich sprawach życia będzie budował bez pomocy wrażeń powierzchownych.

Śmierć sensacji wszechświatowej dobrze przysłuży się rozumowi świata. W życiu intelektualnem zmniejszy się rola popłochu, który sądom naszym odbiera powagę i odpowiedzialność. Wzrastający niepokój świata stanie się, dzięki zamieraniu sensacji, przedmiotem rzetelniejszego sądu przez rozumniejszą skalę wagi i doniosłości spraw ludzkich. Sensacja dnia wysuwa na plan pierwszy sprawy niekoniecznie ważne, lecz w danej chwili najwięcej skupiające uwagi. Na plan dalszy odsuwa rzeczy istotniejsze, na daleką metę działające. Czytelnik gazet, zagłuszany sensacjami, zatraca poczucie błahości rzeczy jednych, a powagi drugich. Absorbując swój umysł jaskrawościami chwili bieżącej, sensacjami jednej doby czy godziny, przestaje rozumieć i odczuwać najgłębsze sensacje epoki, która niesie światu nietylko „wstrząsające" nowiny dziennikarskie, lecz wielką nowinę odmiany zbiorowego życia.

Im więcej sensacji dziennikarskich zblednie, tem wyraźniej uwypuklą się w świadomości myślącego ogółu najdonioślejsze zagadnienia doby przełomu. Kalejdoskop wszechświatowego kryminału, obraz międzynarodowej Sodomy i Gomory, sporządzany codziennie przez prasę, przeszkadza myśleć poważnie, osłabia wzrok normalny, odwraca uwagę od spraw, które decydują o przyszłości narodów. Możnaby sądzić, że to świadoma, dywersyjna robota, spełniana w interesie możnych dzisiejszego świata. W istocie jednak jest to tylko krótkowzroczny, przez czas jakiś intratny handel sensacjami. Handlarze już przeholowali i, jak się rzekło, przesycili rynek.

Gdybyśmy jakąkolwiek gazetę dzisiejszą wzięli do ręki ćwierć wieku temu, popadlibyśmy w największy niepokój, bylibyśmy oszołomieni i przerażeni. Dziś czytamy ją z lekkiem zdziwieniem, albo obojętnie. Jesteśmy zblazowani — w tym wypadku pożytecznie, jeśli, oczywiście, nasza pod tym względem bezwrażliwość nie rozciągnęła się na wszystkie tragedje i radości ludzi.

Kogo w najwyższym stopniu interesują sensacje dziennikarskie, ten jeszcze nie usłyszał i nie dostrzegł, że na świecie dzieją się rzeczy wielkie, pełne dramatycznego napięcia, przełomowe, historyczne.

W stopniu znacznym, może największym, osłabła nasza wrażliwość na codzienne „sensacje" polityczne. Degradujemy je do kategoryj wydarzeń pospolitych, co najwyżej interesujących, jako charakterystyczne objawy takiego a takiego stanu rzeczy. Epizody rozmaite nie zaprzątają naszego umysłu. Sceny i scenki polityczne przesuwają się przed naszą świadomością bez głębszego wrażenia.

Mężowie stanu, dyplomaci i politycy postarali się o to, że słowa ich przestajemy uważać za rewelacyjne i znaczenia pełne.

Kongresy, zgromadzenia i konferencje, poprzedzane są zbyt często zapowiedzią, że decyzje, jakie tam mają być powzięte, otworzą „nową kartę historji" czy „przechylą szalę dziejów". Za dużo tych „nowych kart", a szala dziejów nie przechyla się co miesiąc. Wielkie słowa w świecie politycznym maleją z dnia na dzień.

Jeżeli wskutek naszego przesytu i dzięki większemu krytycyzmowi, blednie „sensacja" codzienna, nie znaczy to bynajmniej, żeby sam obraz rzeczywistości współczesnej nie dawał nowych powodów do najgłębszych emocyj. Tylko powody owe nie krzyczą jaskrawemi tytułami brukowców. Są raczej zagłuszane przez zgiełk interesów aktualnych, zasnute mgłą demagogji, pokrywane zasłoną fałszów, kłamstw, przesądów i złudzeń. Niewidziane dokładnie, niedoceniane należycie, nie przestają jednak działać bez przerwy.

To te wszystkie powody, które mówią nam o powadze czasów i o wielkości zmian nadchodzących.

Józef Wasowski

„Epoka" daje lekturę wszechstronną i poważną, pragnąc zaspokoić głębsze potrzeby intelektualne i duchowe czytelnika.

W OBRONIE CZCI

Prasa — istotny czynnik intelektualnego życia, niewyczerpane źródło zasobów ducha, która zarazem i na wyżyny i na bezdroża prowadzi, jest błogosławieństwem i klątwą wieku, puklerzem prawdy i orędownikiem kłamstwa, czynnikiem tężyzny moralnej i zwierciadłem fałszu.

E. Loebl — „Kultura i Prasa"

Zarząd Syndykatu dziennikarzy warszawskich odwołał się do swoich członków, ażeby w wystąpieniach publicznych unikali wzajemnych ataków osobistych. Wezwanie Syndykatu, niewątpliwie chwalebne, zmusza zarazem do zwrócenia uwagi na inną bolączkę dziennikarstwa, bolączkę o podkładzie znacznie żywiej i głębiej dotykającym całe społeczeństwo.

Chcę poruszyć sprawę, z którą, przy warsztacie pracy codziennej, spotykam się stale, a której liczne objawy budzą w każdym kulturalnym człowieku uczucia protestu.

Chodzi mi o stosunek prasy codziennej do przestępstwa, o formę i treść informacji prasowej, dotyczącej czynów ściganych przez władze śledcze, wreszcie i w szczególności o stosunek prasy do sali sądowej. Kwestja ta nie jest nowa.

Jeszcze w 1901 r. toczyła się dyskusja nad wpływem prasy na rozwój przestępczości. Jedno z fachowych czasopism niemieckich podniosło, że „gdyby prokurator miał prawo zakazać wstępu na rozprawę sądową tym reporterom, którzy dokładnie i ponętnie opisują zbrodnie, a pisma obchodzące owe prawo — karać grzywną, wyświadczonoby wielką usługę moralności publicznej". Dr. Icard podkreśla, że opisy samobójstw, rozpraw sądowych, egzekucji nad skazanymi na karę śmierci, wpływają na wzrost uczuć zbrodniczych wśród mniej odpornych jednostek.

Kwestja aktualna w początkach bieżącego stulecia tembardziej stała się żywotna w naszych czasach, gdy okrucieństwa rzezi europejskiej obniżyły poziom moralny społeczeństw, zlekceważyły prawo człowieka do życia, wolności i czci.

Wystarczy spojrzeć na pierwsze szpalty różnych porannych lub poobiednich brukowców, ażeby stwierdzić, że całe ich kolumny poświęcone są opisom spraw sądowych, a najczęściej, znajdujących się dopiero w stadjum dochodzenia lub śledztwa. Opisy te są jaskrawe, sensacyjne i opatrzone we frapujące tytuły i podtytuły.

Wiadomości podaje się szerokim warstwom czytelników w formie, która nietylko urąga najprostszym wymaganiom poprawności stylu, ale która wykazuje zupełną ignorancję autorów w dziedzinie elementarnych wiadomości prawnych.

Sprawozdanie sądowe to przeważnie wypaczony obraz przebiegu rozprawy, to uchwycone w sieć sensacji i niepowiązane logicznie pytania stron, zeznania świadków i biegłych, wyjaśnienia oskarżonych, wyrwane pojedyńcze zdania z przemówień stron. W dodatku — własne, niesumienne komentarze i uwagi.

Sprawozdanie dostaje się na łamy gazety jeszcze w toku procesu i często zdarza się, że potem zapada wyrok wręcz inny, aniżeli domagał się w swojej relacji reporter. Daremnie jednak szukałby zaatakowany w sprawozdaniu obywatel, chociażby tak drobnego zadośćuczynienia, jakimby było ogłoszenie w całości zapadłego wyroku. W dniu następnym trzeba rzucić na żer sensacji inne nazwiska, miejsca nie starczy na troskę o skrzywdzoną ludzką cześć.

Jawność rozprawy, wolność wstępu na salę sądową, owe czynniki nowożytnego wymiaru sprawiedliwości, przez nadmiar wolności źle zrozumianej, przez pobłażanie wybrykom dalekim od służenia dobrym celom prasy, oddają każdego obywatela, który przez splot wydarzeń tragicznych, znalazł się przed sądem, na żer sensacji sprawozdawczej. Sala sądowa stała się nietylko miejscem męki człowieka sądzonego, ale rzuciła na pastwę sensacji dziennikarskiej jego cześć. W tem chciwem żerowaniu na niedoli ludzkiej, ulega sponiewieraniu i splugawieniu dobre imię człowieka. Z pozorów, niepopartych dowodami, z wrażeń czysto zewnętrznych, z domniemań bezzasadnych, z sympatji lub antypatji politycznych, społecznych, rasowych i wyznaniowych — rodzi się wiadomość dziennikarska, która burzy dobrą sławę obywatela, zakłóca spokój ogniska domowego, niszczy rozpaczliwy często wysiłek ukrycia przebiegu rozprawy.

W ślad za tym brutalnym atakiem, przypuszcza szturm, ukryty w kącie sali sądowej, w korytarzu, na dziedzińcu, objektyw aparatu fotograficznego. I znów tysiące oczu wpatruje się w twarz oskarżonego, świadka, pokrzywdzonego. Setki z tych oczu, może oczu znajomych, stwierdzają niewątpliwie, że owa bezkrytycznie przyjęta ze sprawozdania prawda, odnosi się do człowieka, któremu wczoraj ściskali rękę, zawierzali swoje sprawy i troski. Dziesiątki może z tych oczu pokryją się łzami na widok kogoś bardzo bliskiego, może najbliższego.

Niedawno, jeden ze światlejszych sędziów stołecznych poruszył na łamach „Głosu Sądownictwa", tę formę utrwalania osób dramatu sądowego w prasie. Z głębi szlachetnego serca sędziowskiego podnosił głos protestu przeciwko tym bezprawnym atakom na prawo człowieka do reprodukcji swojego zdjęcia, lecz głos ten nie usunął z sali sądowej aparatu fotograficznego.

Jakże często w poufnej rozmowie oskarżonego z obrońcą, budzi się w duszy oskarżonego lęk przed sprawozdaniem sądowem. Rozpaczliwy lęk przed skutkami publicznego rozgłoszenia hańby, zbrukania najsubtelniejszych uczuć, stargania najserdeczniejszych węzłów. Napróżno w tych wypadkach ręce obrońcy nieporadnie przewracają kartki kodeksu, szukając odpowiedzi w jego martwych paragrafach. Nadużywane często przepisy art. 255 i 256 K. K. daremnieby przywoływać w tych wypadkach na pomoc.

Prawo spieszy z pomocą obywatelowi, gdy cześć jego ulega atakowi ze strony innego obywatela. Prawo zmusza do umieszczania sprostowań nieprawdziwych wiadomości. Prawo karze za rozsiewanie fałszywych wiadomości, naruszających spokój publiczny. Ale prawo milczy, gdy cześć ludzka ulega sponiewieraniu w sprawozdaniu sądowem, prawo milczy, gdy się fałszuje w sprawozdaniu prawdę sądową, gdy przed wyrokiem sądu, w gazecie ogłasza się wyrok moralnie zabijający obywatela. Prawo milczy, bo nie udziela sankcji w wypadku odmowy umieszczenia sprostowania, pochodzącego od osoby prywatnej. Prawo nie zna normy, którąby zmusiła odpowiedzialnego redaktora do umieszczenia uniewinniającego wyroku, prawo nie wzbrania wstępu do sądu żerującym na sensację fotografom czasopism.

W jednym z numerów „Epoki", rzucono uwagę, że brak sankcji w uchwale syndykatu dziennikarzy stwarza z tej uchwały jedynie pium desiderium. Zagadnienie ochrony czci przed złośliwością reportażu wymaga wkroczenia nietylko władz zawodowych dziennikarskich, ale także wkroczenia władz ustawodawczych.

W ramach ustawy prasowej zagadnienie sprawozdań sądowych winno ulec szczegółowemu opracowaniu. Redaktor winien być surowo karany za umieszczenie informacji, nie odpowiadającej przebiegowi rozprawy. Prawo winno karać za umieszczenie bez zgody obywatela jego podobizny. Każdy ma prawo bowiem nietylko do czci, ale także prawo do ochrony swojej osoby i do swobodnego dysponowania swoją podobizną. Prawo autorskie zastrzega prawo do kliszy fotograficznej i odbitki, tembardziej więc winno ulegać ochronie prawo człowieka do swobodnego dysponowania umieszczeniem w dzienniku jego podobizny.

Jednakże poruszone zagadnienie nie wyczerpuje się wyłącznie w dziedzinie reporterki sądowej. Równolegle bowiem z tym rodzajem pracy dziennikarskiej, łamy prasy przepełnione są sensacyjnemi rewelacjami o dokonanych aresztowaniach i rewizjach, o wszczętych sprawach, toczących się śledztwach. Wszystkie te informacje w *znakomitej większości* są przesadzone, albo wręcz kłamliwe. Nie przeszkadza to jednak, po umieszczeniu pierwszej wzmianki tego rodzaju, zaspokoić głód sensacji czytelnika zapowiedzią dalszych, jeszcze bardziej sensacyjnych szczegółów. Niezawsze ta obietnica ulega spełnieniu. Dziwnym zbiegiem okoliczności zdarza się, że, albo dalsze informacje urywają się niespodziewanie, albo też rozpoczyna się gremjalny odwrót i „wybielanie" wczorajszej ofiary. Takie salto-mortale, musi krytycznym umysłom nasuwać daleko idące wnioski, co do przyczyn tej nagłej zmiany.

Zdarza się jednak niejednokrotnie, że serja rewelacji zapełnia szereg numerów następnych. Tymczasem praktyka sądowa wskazuje, że często końcowy efekt tych wyolbrzymionych w dochodzeniu lub śledztwie spraw, jest nader nikły, że sprawy te kończą się umorzeniem, albo uniewinnieniem. Gdy nawet zapada wyrok sądowy, sam przebieg sprawy pozbawiony jest posmaku pikanterji, którym drażniono żądną sensacji rzeszę czytelniczą. Jest też faktem notorycznym, że informacje o wszczęciu dochodzenia trafiają do wiadomości reporterów wprost z policji. Odbywa się to zarówno drogą oficjalną, jak też nieoficjalną.

Prawodawca nasz wprowadził przepis art. 159 kodeksu karnego, który głosi, że władza prowadząca dochodzenie lub śledztwo, może zezwolić na ujawnienie wiadomości, dotyczących dochodzenia lub śledztwa. Przepis ten w naszych stosunkach jest nader niebezpieczny. Trzeba stwierdzić, że nie powołała go do życia Komisja Kodyfikacyjna, lecz, że zbogacono nim kodeks karny w Ministerstwie Sprawiedliwości, przy ustalaniu ostatecznej redakcji Kodeksu. Pozostawienie swobodnej decyzji w materji ujawnienia danych dochodzenia w rękach właściwych organów, któremi z reguły są władze policyjne mundurowe lub śledcze, godzi poważnie w interes społeczny. Niezawsze bowiem przedstawiciele tej władzy posiadają dostateczne zrozumienie tego, co może lub powinno być ujawnione i kiedy powinno być ujawnione.

Zresztą władza ta może jedynie mieć wpływ na sam fakt ujawnienia wiadomości, ale nie może już mieć wpływu na formę i sposób, w jaki to ujawnienie przedostaje się na szpalty czasopism. Uchylone ustawy b. państw zaborczych, nie znały tak daleko posuniętej jawności postępowania sądowego, która przecież zupełnie wyraźnie godzić może w cześć ludzką. Art. 305 ros. kodeksu karnego nie zezwalał na ujawnianie danych z dochodzenia lub śledztwa, przed posiedzeniem sądu lub umorzeniem sprawy. Niemiecka ustawa prasowa z 1874 r. zabraniała ujawniać akt oskarżenia lub inne pismo procesowe, aż do ich ogłoszenia na jawnej rozprawie, lub do zakończenia postępowania sądowego. Trzeba niestety stwierdzić, że ustawy te okazywały większą troskę o cześć obywatela. Wydaje mi się zbytecznem wskazywać, jak groźnem niebezpieczeństwem jest ta swoboda publikacji dochodzeń lub śledztw sądowych. Francuzi mówią: calomnier, calomnier, il en restera toujours quelque chose. Obojętne, że posądzony obywatel zostanie uniewinniony lub sprawa jego ulegnie umorzeniu. Obojętne, że wczorajszy delator znajdzie się sam pod zarzutem przestępstwa. W oczach opinji publicznej ktoś, kto padł ofiarą informacji, zostaje skazany moralnie. Do osoby jego przylgnie cień człowieka, który był w kolizji z kodeksem karnym, który się „wykręcił" i przeciw temu potępieniu daremnie szukać apelacji.

Kiedy zaś oburzony obywatel, broniąc swojej sponiewieranej czci, zażąda sprostowania, w oparciu się o Dekret prasowy — cel nigdy nie zostanie osiągnięty. Sprostowanie bowiem zginie, ukryte wstydliwie wśród drobnych ogłoszeń, albo też zupełnie umieszczone nie będzie. Wtedy zaczyna się nowa gehenna walki o cześć, o ile posiada obywatel energję do prowadzenia tej walki.

Zaczyna się proces karny o zniesławienie.

Z reguły redaktor odpowiedzialny nie ujawnia autora notatki, a jeśli go nawet ujawni, jeden i drugi kryją się za parawanem uzasadnionego interesu publicznego, albo ofiarowują „dowód prawdy". Wtedy to zaczyna się tak dobrze znany z sali sądowej taniec ze świadkami. W obronie swojej powołuje redaktor lub ujawniony autor cały poczet osób, z najrozmaitszych warstw i sfer społecznych, zamieszkałych często na całym obszarze Państwa. Sprawa idzie do śledztwa, wędrują akta po całej Polsce, a gdy dochodzi do merytorycznej rozprawy, używa się tysiącznych wypróbowanych chwytów, ażeby odwlec dzień sądu. W tych warunkach czas pracuje dla sprawcy. Gdy wyczerpią się wszelkie środki gry na zwłokę zjawia się dobrodziejstwo tak częstej u nas amnestji, jako środka zepchnięcia zaległości sądowych, albo też przychodzi z pomocą nawet dobrodziejstwo przedawnienia wyrokowania. Do wyjątków należy zjawisko odwagi cywilnej ze strony autora lub redaktora — odwołania publicznego zarzutów, spełnienie aktu ekspjacji. Łatwość bowiem napaści jest w odwrotnym stosunku do zdolności i chęci naprawienia krzywdy.

Ta krzyżowa droga walki o cześć przed sądem jest powszechnie znana. Zniechęca ona obywateli do szukania na niej zadośćuczynienia. Słabsi cofają się wpół drogi, słabi zaś, zwłaszcza materjalnie, z walki rezygnują.

Należy przedewszystkiem uchylić fatalny przepis art. 159 k. k. Należy zreformować tryb postępowa-

nia sądowego. Przy każdym sądzie okręgowym należy stworzyć wydział dla spraw ochrony czci. Skład sądowy powinien nosić charakter mieszany, a więc z udziałem czynnika obywatelskiego i z przedstawicielem zawodu dziennikarskiego w składzie sądzącym. Wydział specjalny zapewni szybki wymiar sprawiedliwości, umożliwi tem samem obywatelowi słuszne dochodzenie swej krzywdy, doznanej na czci.

Lecz najlepsza ustawa i najdoskonalsze prawo procesowe, nie rozwiąże kwestji, gdy społeczeństwo samo nie przyjdzie z pomocą. Ta część zadania spoczywa na organizacjach zawodowych dziennikarskich. One winny wychować typ uczciwego reportera, ale zarazem karcić surowo jednostki, gwałcące zasady etyki zawodowej.

Represja Państwa i organizacji zawodowej musi w rezultacie dać pożądany wynik: — podniesienie poziomu samej prasy, wpojenie w świadomość społeczną, że cześć ludzka stanowi takie samo dobro przyrodzone obywatela, jak prawo do pracy i prawo do życia.

Jan Ruff

KORNET SAMARYTANKI

Ministerstwo Opieki Społecznej przygotowuje obecnie projekt ustawy pielęgniarskiej. Odbywają się narady, w których biorą udział zaproszeni lekarze, oraz przedstawicielki pielęgniarek świeckich. Nie zaproszono do tych obrad ani przedstawicieli przedsiębiorstw pogrzebowych, ani kleru jakichkolwiek wyznań. Nikogo to nie dziwi prócz Katolickiej Agencji Prasowej, którą pominięcie duchowieństwa katolickiego tak dalece zaniepokoiło, iż udając, że nie rozumie *celowości* tego „przeoczenia", zgłupia-frant zapytuje „Dlaczego ten pośpiech?" w nagłówku swej jeremiady, „na marginesie projektu ustawy pielęgniarskiej". Dla poratowania swej miłości własnej, chce wmówić prostodusznemu czytelnikowi swych enuncjacyj, że gdyby autorom projektu nie spieszyło się tak z opracowaniem ustawy, kler zostałby zaproszony do udziału w obradach. Czyżby?...

Megafon kleru katolickiego w Polsce zaczyna swą arję od przypomnień historycznych, usiłując ulepić z nich argument przeciw organizowaniu pielęgniarstwa nowoczesnego, świeckiego. „Kościół od początku swego założenia pielęgnował chorych i opiekował się nimi". Nikt temu nie przeczy, jak nikt nie przeczy innemu faktowi historycznemu, że przez szereg wieków w Polsce, jak i gdzieindziej, oświata publiczna była w rękach kleru. Ale po kasacie jezuitów w r. 1773 wystrzeliła z głowy polskiego, otumanionego francuskiemi nowinkami Lucifera, alias Lucypera, przeklęta Komisja Edukacyjna, i zrobił się wyłom w tradycji: zaświtała era oświaty świeckiej. Powoływanie się na tradycję działalności zakonnej „w tak poważnej dla państwa sprawie" — jak słusznie ocenia pielęgniarstwo K.A.P. — wyglądać może na argument przeciw jego laicyzacji tylko w mózgownicach, nie pojmujących, że postęp wiedzy, ochrony społecznej i rola państwa nowoczesnego muszą robić wyłomy w twierdzy uprzywilejowanej kasty.

Redakcja Katolickiej Agencji Prasowej, schodząc na grunt współczesności, monituje M-stwo O. S., uważając, że „wskazanem byłoby, by (projekt) został podany do wiadomości władz kościelnych, do których z *prawa* (sic!) należy opieka nad katolickiem szpitalnictwem i opieka nad chorymi katolikami".

Ośmielę się przypuszczać, że w państwie nowoczesnem tak samo nie może być katolickiego szpitalnictwa, jak nie może być katolickiej straży ogniowej, ani katolickich wodociągów i kanalizacji. Szpital jest taką samą instytucją użyteczności publicznej, jak inne tu wymienione; szpitale utrzymywane są z podatków wszystkich obywateli bez różnicy wyznania, a choćby ten i ów szpital opierał swą egzystencję na środkach materjalnych gminy wyznaniowej, lub fundacji osoby prywatnej, czy jakiejś organizacji społecznej — z reguły jest dla wszystkich. Życzę Redaktorowi K.A.P'a, żeby żył sto lat, (nie chcę, by przedwcześnie dostał się do nieba) — ale jeśliby mu się wydarzył na ulicy, przylegającej do szpitala ewangielickiego, czy żydowskiego, wypadek, wymagający jaknajszybszej pomocy, ciekawa rzecz, coby wolał: być opatrzonym u heretyków, albo zgoła u żydów, czy też kazałby się wieźć koniecznie do dalszego, ale katolickiego, szpitala? Na szczęście dlań, gdyby chciał się poświęcić dla „sprawy", nie pytanoby go o zdanie; zadecydowałby ten, kto rządzi w szpitalu — lekarz, dla którego nie byłby cierpiącym katolikiem, tylko poprostu cierpiącym człowiekiem.

Teraz dochodzimy do właściwego źródła kapowskich obaw i pretensji, do sedna rzeczy.

Przywykliście do tego, że w szpitalach rządzą nominalnie lekarze, faktycznie jednak pielęgniarki zakonne, czyli siostry miłosierdzia (szarytki). Boicie się, by nowa ustawa nie ograniczyła ich dzisiejszej władzy, dążąc przytem do stopniowego zastąpienia zakonnic pielęgniarkami świeckiemi. Bijecie na alarm, bo ważny odcinek frontu może być przełamany, a już jest przez zastępy zawodowych świeckich „sióstr", czynnych obecnie, zagrożony. Dlatego to „zbyt wiele nacisku kładzie się na teoretyczne kwalifikacje naukowe, zbyt mało uwzględnia się praktykę i czynnik duchowo-moralny".

Pomówmy o niektórych aspektach tego czynnika u samarytanek w kornetach.

Pisze ksiądz-redaktor: „Ustawa powinna zabezpieczyć także wyszkolenie etyczne pielęgniarek, utrzymanie na wysokim poziomie ich ducha i sumienia". Święte słowa. O to właśnie chodzi, żeby pielęgniarka w kornecie nie wyobrażała sobie, że jest czynem moralnym, dowodem etycznego wyszkolenia i wysokiego poziomu sumienia, np. ochrzczenie nieprzytomnego żyda w agonji, gdy traf chciał, że znalazł się pod opieką siostry-zelantki. Czy ksiądz-redaktor nie słyszał nic o takich nadużyciach, o takich moralnych gwałtach „misjonarskich", prowokujących po śmierci „katolika mimo woli" skandaliczne zajścia z jego żydowską rodziną? Pielęgniarka świecka nie będzie uważała zabiegów przy porodzie za czynność niemożliwą do spełniania, obrażającą jej „cnotę", za rzecz „niemoralną", według waszych sfałszowanych pojęć moralności. Siostra świecka wreszcie nie będzie narzucała choremu praktyk religijnych, zastosuje się do jego życzeń w tej dziedzinie, uszanuje w chorym człowieku jego prawo do wolności sumie-

nia. A w zakresie swych obowiązków zawodowych będzie musiała spełniać dyspozycje lekarza bez gadania; niemożliwe będzie powtórzenie się takiego skandalu, jaki opisuje Boy we wspomnieniach ze swej krótkiej praktyki szpitalnej, gdy lekarz, przekonawszy się, iż zakonnica przenosi zarazki z oddziału chorób zakaźnych na dzieci oddziału ogólnego, zażądał okrycia się przez nią fartuchem białym z odpowiedniemi rękawami i spotkał się z kategoryczną odmową, motywowaną regułą zakonną i uwagą, że im prędzej dziecko umrze, tem rychlej dostanie się niewinna dusza do nieba bo „nie zdąży nagrzeszyć". Szpital to nie przedsionek raju, nie fabryka aniołków.

Niemożna do pracy nad przywróceniem zdrowia, a więc do pracy na rzecz życia, dopuszczać jednostek, zarażonych *awitalizmem religijnym*, czcicielek śmierci, agentek rozkoszy życia pozagrobowego. Nonsens obecności takich typów w szpitalu bije w oczy. Czas wielki ten absurd wytępić w pielęgniarstwie.

Tymczasem, w okresie przejściowym, dla władz duchownych otwiera się wdzięczne pole uświadamiania pielęgniarek zakonnych o istocie i sensie działalności samarytańskiej, na podstawie Ewangelji. Niechby najbardziej do tej akcji powołane czynniki przypomniały im o idealnym prawzorze tej działalności, wskazanym przez samego Chrystusa w osobie „Miłosiernego Samarytanina", który okazał spotkanemu na drodze choremu więcej serca i *bezwyznaniowej miłości bliźniego*, niż prawowierni żydzi. Żeby zrozumiały, dlaczego tej miłości Prawodawca Samarytanina stawiał za przykład Żydom, muszą się dowiedzieć lub sobie przypomnieć: że Samarytanie byli schizmatykami żydowskimi, którzy w Samarji, w mieście Garizim, wznieśli świątynię, rywalizującą z Jerozolimską; że kler żydowski zabronił prawowiernym wyznawcom Mojżesza z nimi obcować; że Chrystus, który na każdym kroku swem zachowaniem się obrażał tradycje i ambicje kleru Faryzeuszów i Saduceuszów — co wreszcie przypłacił śmiercią na krzyżu — i z tego zakazu anty - samarytańskiego też nic sobie nie robił. (Rozmowa z Samarytanką przy studni Jakóbowej, opisana w Ewangelji św. Jana).

Nie szkodziłoby na tych rekolekcjach przypomnieć początek tej rozmowy Jezusa z pół-poganką, jej odpowiedź na pierwsze słowa Nauczyciela nowej moralności: „Daj mi pić!" — jak się tem zdumiała niesłychanie: „Jakoż ty, będąc Żydem, żądasz odemnie napoju, od niewiasty samarytanki?" (gdyż Żydowie nie obcują z Samarytany — objaśnia ewengelista). Nietylko nie obcują, lecz chcąc w jakimś sporze znieważyć Jezusa nazwą heretyka, wybuchają: „Izali my nie dobrze mówimy, żeś ty jest Samarytanin i djabelstwo masz?" (Jan, VIII 48).

W iluż ciemnych głowach pod jasnym kornetem katolickiej samarytanki gnieździ się głębokie przekonanie, że każdy niekatolik w duszy „Djabelstwo ma"? Ileż tonsur tę niemoralność w nich krzewi i podtrzymuje?... We własnym interesie wartoby je zapoznać z ewangelicznem znaczeniem służby samarytańskiej.

Możeby tę akcję wychowawczą podjęła... Akcja Katolicka!

Wacław Rogowicz

ODGŁOSY

NIE NUDŹCIE NAS!

„Nie nudźcie nas!" — brzmiała krótka odpowiedź iskrowa zbuntowanej załogi krążownika holenderskiego „De Zeven Prowinzien", gdy ścigająca eskadra rządowa wezwała buntowników do poddania się i wywieszenia białej flagi.

Dalszy ciąg wydarzeń znany już jest z depesz: bomba 50-kilowa rzucona z samolotu na pokład „De Zeven Prowinzien" zabiła 18-tu buntowników, a raniła 25-ciu. Krążownik poddał się.

Jeszcze przed wielu, wielu laty, ostrzegał swój rząd i swoich rodaków znakomity pisarz holenderski, Multatuli, przed skutkami nieludzkiego traktowania i wyzysku, jakich przedmiotem byli tubylcy na wyspach Sundajskich.

„Jawańczykom dzieje się krzywda!" — wołał Multatuli, były wyższy urzędnik, z ramienia rządu holenderskiego na wyspie Jawie. Opisał nielitościwy wyzysk „cywilizatorów" zachodnich, traktujących łagodny i spokojny lud jawański, jak stado bydła roboczego.

Jawańczycy znosili długo i cierpliwie rządy konkwistadorów, wywożących z ich kraju olbrzymie fortuny wyciśnięte z pracy, potu i grabieży. Niedarmo bowiem Multatuli zakończył swe opowieści jawańskie proroczym zaiste zdaniem:

„Nad Skaldy piaszczystym brzegiem leżał grabieży kraj..."

I za to otrzymał dymisję. Za to obłożono dzieła jego bojkotem, za to wytykali go palcami — złego patrjotę — syci, spasieni, bogaci plantatorzy kawy, fabrykanci cygar, kupcy, pośrednicy.

Wolno obracają się kamienie młyńskie historji. Mielą jednak pewnie i sprawnie.

Nieograniczonemu władztwu 7-iu miljonów Holendrów nad 60-ma miljonami Malajów ma się już pod koniec. Jak i całemu panowaniu białych nad ludami kolorowemi. Niewolnicy przychodzą z kolei do głosu.

Najbogatszy w Europie kraj, kraj, gdzie na każdego mieszkańca pracuje 10-iu kolorowych, gdzieś tam na wyspach dalekich oceanów będzie musiał przyznać prawa ludzkie swoim poddanym w kolonjach i zadowolnić się mniejszym niż dotąd zyskiem z ich pracy.

Bunt załogi krążownika holenderskiego jest tylko ogniwem w łańcuchu wielu cierpień i upokorzeń, jakie były od lat dziesiątków udziałem krajowców. Zbuntowali się — charakterystyczne — nie z racji obniżenia żołdu, lecz gdy sponiewierano ich godność ludzką, gdy kapitan krążownika, Eikenboem, spoliczkował dwóch marynarzy, którzy, jako delegaci załogi, przedłożyli jej dezyderaty. Wtedy wybuchła rewolta. Niewolnik kolorowy upomniał się o swe prawa człowieka.

Bunt na „De Zeven Prowinzien" został stłumiony. Ale w kraju niewoli, gdzie panuje piekło wyzysku, wre pod powierzchnią. I tu nie pomogą już bomby, ani armaty.

Nie pomogą, gdyż silniejszą od nich bronią jest wymowa tej bezkrwawej odpowiedzi: „nie nudźcie nas!"

M. Czarnowski

TEATR

»CIEŃ« NICCODEMIEGO W TEATRZE NOWYM

„Problem" trójkątnie małżeńskiej sztuki Niccodemiego polega na wyzdrowieniu żony, której przewlekła choroba stała się przyczyną zdrady ze strony męża, — t. zw. poważnej zdrady, to znaczy z ogniskiem domowem i potomstwem z nieprawego łoża. Mąż, uszczęśliwiany przez inną kobietę, dopiero w połowie drugiego aktu sztuki dowiaduje się, iż jego ongiś ukochana, a i teraz jeszcze, choć w dużo mniejszym stopniu, droga żona, ozdrowiała nagle po paru latach paraliżu na tle histerji. Paralitycznie wierna Joanna przy końcu tegoż aktu dowiaduje się o zdradzie małżonka, próbuje oponować przeciw „powadze" tej zdrady, daje do zrozumienia mężowi, że ma doń żal, dlaczego nie zdradzał jej tylko przygodnie, w każdym razie bez następstw... Tutaj to po raz pierwszy w sztuce wyłazi szydłem z worka kołtuństwo zarówno autora, jak i nader udatnie odmalowanego przezeń symbolu „wiernych żon". Gdy mąż przerażony niespodzianką wyzdrowienia powiada: — Joanno, ja przez kilka lat z rzędu zdradzałem ciebie!..., żona śmieje się i gładzi głuptasa po główce: — Pan z tobą! byłam chora, więc nie mogłeś inaczej!... Ale gdy mąż daje do poznania, że trudno zerwać z „tą drugą", gdyż miłość, gdyż dziecko... i t. d., a więc zewszechmiar usprawiedliwiona chęć rozwodu, — żona wierna, żona kochająca wścieka się...

Zakończenie sztuki jest wręcz niesmaczne: — oto zdrowa, młoda kobieta postanawia robić nasiadówkę na czas nieokreślony (czytaj: — do końca życia), innemi słowy postanawia dla całego świata znowu stać się sparaliżowaną na całem ciele. Cel tego wstrętnego pseudo-heroizmu, — szczęście(?) męża, szczęście jego kochanki, dziecka, wnuków etc. Nie ulega żadnej wątpliwości, że wielu wiernym żonom objaw tak mściwego poświęcenia może zaimponować, jednak źle to świadczy o artystycznym smaku Niccodemiego, że podobnie niegodziwą bzdurę stawia na piedestał wzniosłej ofiary małżeńskiej.

Zresztą jest to ofiara bezcelowa, gdyż wystarczyłby podpis żony na akcie rozwodowym, by męża uszczęśliwić, oraz ziarenko gorczyczne dobrej woli, by nie pozbawić małżonka rzekomo zbawiennego wpływu „duchowego" na jego twórczość artystyczną. Utrzymanie przyjacielskich stosunków z „tą drugą" — nawet zbyteczne, jeśli wymaga poświęceń. Najlepiej — usunąć się i cierpieć w ukryciu, jeśli musi się cierpieć...

Naiwno sentymentalna sztuka Niccodemiego jest brzydkim przejawem kultu, jaki ciągle jeszcze żywi społeczeństwo dzisiejsze w stosunku do zadawania samemu sobie cierpień dla cudzego, rzekomo, szczęścia, — w stosunku do tak licznych samobójców „niepotrzebnych już", którzy i które pragną w ten sposób „nie łamać życia" drogiej istoty i t. p., a w rzeczywistości wręcz przeciwnie, bo szczęścia swojem cierpieniem nie przysparzają i jakże często własną śmiercią czy innem bardziej wyrafinowanem „poświęceniem" łamią drugie życia, unieszczęśliwiają tych rzekomo „kochanych" ludzi.

Powie ktoś, że specjalne należą się względy rozpaczliwym przejawom miłości do zdradzającego. Uczucie silne, wczoraj jeszcze wzajemne, siedzące, że tak powiem, na krześle prezydjalnem pośród innych uczuć, — nagle, ni z tego ni z owego zdetronizowane, strącone w przepaść bezwzajemności staje się z musu spiskowcem, zamachowcem, bandytą ludzkiej psychiki, którą należy leczyć. Wiadomą jest rzeczą, że zarówno moc chorób, jak i występków powstaje na tle faktu, że uczucie, że popęd, że funkcja organiczna zaspokajana dotychczas, staje nagle wobec niemożności dalszego zaspokajania...

— Leczyć? — Nie, wcale od Niccodemiego nie wymagam, by był aż lekarzem i wcale nie mam mu za złe, że ze swej sztuki nie zrobił odtrutki przeciw miłości bezwzajemnej, ofiarnej miłości do zdradzającego mężczyzny. Pisarz ma prawo nie być moralizatorem czy „lekarzem dusz", nie ma jednak prawa być pozbawionym twórczego kryterjum, z pomocą którego każdy artysta rozbija dokoła siebie stare budowle ludzkich wierzeń, a stawia nowe.

Nikt Niccodemiemu nie kazał obierać jako tematu sztuki, „ofiarności" porzuconej kobiety, skoro jednak sam dorwał się autor do tego zagadnienia, rzecz karygodna, że kłamie, gdy unieszczęśliwianie męża przez żonę pokazuje jako jej piękno wewnętrzne, jako jej heroizm, dlatego tylko, że nie witryolejem unieszczęśliwia jedno z małżonków drugie, ale cierpieniem własnem, rzekomo „ofiarnem", a wymyślnem, jak średniowieczna tortura.

Zemsta pod pozorami ofiary, — cóż za przepiękny temat!... W sztuce Niccodemiego mąż ma chwilę jasnowidzenia, gdy powiada do żony, pragnącej uciec w świat: — Joanno! chcesz się mścić! Okrzyk ten jednak nie ratuje sztuki. Gdyby w zakończeniu trzeciego aktu zawołał jeszcze ktoś: — Joanno! jesteś potworna z całem swem wyrafinowanem poświęceniem! — i to również nie zdałoby się na nic. Żeby sztuka miała być dobra, trzebaby ją przebudować od podstaw i zamiast „cień", zatytułować „zmora".

Na psychice dzisiejszych społeczeństw ciąży, obok wielu innych zjaw, zmora straszliwego wymysłu, który się zwie „obowiązujące prawodawstwo miłości". Nie wolno radować się szczęściem, jakiego człowiek kochany zażywa z kim innym, — nie ze mną. Ze mną wolno mu męczyć się, a mnie wolno patrzeć na tę mękę i także się męczyć, ale poprostu, jasno i serdecznie powiedzieć — odejdź!— nie wolno, choćbym chciał. Jeśli napotka szczęście na swej drodze, mnie opuści i zostanie przy tem szczęściu piękniejszem, lepszem, droższem dlań niż ja, wówczas, choćbym nie chciał, wypada mi mścić się, wypada własnym grobem zasypać znalezioną przezeń radość, albo inną z mej strony „ofiarą", zagryźć, zdławić, dobić szczęście kochanego człowieka. To, co wypada, mocniejsze jest niż mus, bardziej nakazujące niż wewnętrzna potrzeba. Jeśli zemszczę się oryginalnie, wyrafinowanie, a przecież z „poświęceniem", wówczas kto wie, może jaki Niccodemi napisze i o mnie komedję wzniośle — obyczajową?... w każdym razie wszystkie kuchty w mojej kamienicy będą miały temat do rozmyślań, rozmów i zachwytów na calutki rok!

***

Aktorsko trudną rolę Joanny, doskonale opanowała p. Malicka. Podziwiając jej kreację, czuło się

szczery żal, że dla tak głupiej sztuki — tyle niepotrzebnego trudu. P. Boelke w roli męża był od początku do końca — żaden: ani jednego momentu szczerości. Tylko trochę lepiej wypadła „ta druga" w interpretacji p. Marcinowskiej, natomiast zarówno p. Gawlikowski w roli przyjaciela Michała, jak i p. Ciecierski w roli lekarza spisali się znakomicie. „Miły nieporządek" pracowni malarskiej w akcie drugim bardzo przeciętnie rozwiązał pod względem dekoratorskim p. Frycz.

Jerzy Kornacki

»KOBIETA, KTÓRA KUPIŁA MĘŻA«

Sztuka Stève Passeur'a w Teatrze Polskim.

To mało powiedzieć, — dobrze złożona sztuka. Rzecz oczywista, że konstrukcyjna umiejętność autora musi być niebylejaka, skoro zdołał on wybudować całość hormonijną, jedyną, ***konieczną***, z takiego bogactwa wydarzeń i okoliczności, jak: 1) Gedeon, zbrodniarz-recydywista jest wiernym służącym w domu panny Marceliny, — bogatej, lecz starej i brzydkiej panny, 2) syn przyjaciela domu i coś jakby kuzyn Marceliny, młody przemysłowiec, Stefan, uwikłał się w machinacje niejasne i wskutek tego grozi mu więzienie, 3) Marcelina bezwzajemnie kocha Stefana, 4) natomiast kochankę Stefana kocha jego wierzyciel i t. d., i t. d. Pierwsze posunięcie zasadniczej akcji przedstawia się następująco: — ażeby z długów się wydobyć i uniknąć więzienia, Stefan zawiera „tranzakcję małżeńską" z Marceliną, innemi słowy daje się kupić brzydkiej, starej pannie wzamian za spłatę długów. Posunięcie drugie: — w dzień ślubu Stefana zjawia się jego kochanka, która pieszczotami i groźbą „dożywotniego zerwania" namawia do bezzwłocznego porzucenia żony i do ucieczki. Stefan decyduje się, woła żonę-pannę i oświadcza, że odjeżdża od niej, że nigdy nie wróci, że czuje do niej nieodparty fizyczny wstręt... No, dobrze, ale kupno? tranzakcja małżeńska? czterysta tysięcy długu?... Nic to nie Stefana nie obchodzi, ani też wstyd przed światem, na jaki naraża Marcelinę jego odjazd.

Dotychczas wszystko idzie komedjowo. Przystojny sympatyczny chłopiec „wykiwał" starą pannicę i już. Widz gotów z przyzwyczajenia przyklasnąć temu wyczynowi szablonowej moralności, — sądząc, że to już koniec komedji. Tak, ale początek dramatu.

Żona stoi pośrodku hallu, a kochankowie mają już wyjść, — przed domem czeka auto, w którem zникną za chwilę. Jednakże rodzi się dramat i rodzi się z tego faktu, że Marcelina nie jest szablonową żoną, która w takich momentach umie tylko mdleć, lub krzyczeć poprzez spazmy: — Po moim trupie!... Marcelina nie jest także żadną bohaterką (za co jesteśmy autorowi szczególnie wdzięczni), nie jest czemś wyjątkowem, lecz działa nadal logicznie, nie przestaje być sobą, lecz rozumuje właśnie tak, jak stara panna powinna rozumować, — stara panna, która chce mieć męża, która na szczęście małżeństwa czekała daremnie od dwudziestu lat i wreszcie męża sobie kupiła, za pieniądze, na własność. To jedna strona medalu, a po drugiej stronie rysuje się coraz wyraźniej, z nieubłaganą koniecznością, zwyrodniała czaszka Gedeona, zbrodniarza, którego służalcza dla Marceliny wierność tylko czeka, tylko drży, by się wykazać czynem.

Pierwszem posunięciem dramatu jest to, że Stefan nie odjeżdża. — Wyjdź za próg domu, spróbuj, proszę, — powiada Marcelina — wiedz jednak, że Gedeon zastrzeli cię jak psa!... Na takie dictum, Stefan zostaje . Kochankę wypraszają za drzwi i rozpoczyna się pożycie małżeńskie pod troskliwą opieką Gedeona.

Siła tej sztuki polega na fakcie, że mimo sensacyjności następnych scen, mimo całej ohydy wzajemnego stosunku małżonków, widz nie oponuje, lecz zgadza się, rozumie konieczność nie tylko konstrukcyjną, lecz i psychologiczną tego ciągu niesamowitych sytuacyj.

Co więcej — zaczyna rozumieć rozkosz miłosną Marceliny, która ośmiela się mówić: — Zaznałam szczęścia najwyższego i nawet gdybyś ty mnie kochał, a nie nienawidził, rozkosz moja nie mogłaby być większa!.. Autor, chociaż z oddali, pokazuje nam jednak wyraźnie, jak to w człowieku płciowość może być niezależna od woli i jak umie zagłuszyć nawet wstręt fizyczny, podeptać honor, poniżyć całą resztę ludzkich instynktów, gdy dąży, naprzekór wszystkiemu, do zaspokojenia. Nietzsche gdzieś powiada, że im większe stawia się przeszkody na drodze popędu, tem bardziej, tem ogromniej popęd ów rośnie...

Nie piszę o zakończeniu sztuki, gdyż nie chcę osłabiać zainteresowania tych czytelników, którzy jeszcze spektaklu nie widzieli. Zarówno doskonała gra pp. Przybyłko-Potockiej, Zelwerowicza, Węgierki i Z. Karczewskiego, jak i naprawdę niezwykła w swej wytwornej prostocie dekoracja wnętrz, pomysłu Stanisława Śliwińskiego, czynią widowisko godnem uznania.

J. K.

ZDOBYCZE ZAWODU

W ministerstwie wyznań religijnych i oświecenia publicznego przygotowuje się obecnie doniosły projekt — nowego typu szkół zawodowych. Sprawa ta nasuwa parę uwag natury zasadniczej.

Tak jakoś ułożyły się u nas od dawiendawna stosunki, żeśmy nigdy nie zdradzali zbytniego pociągu do pracy zawodowej, zwłaszcza jeżeli z tą pracą łączyła się konieczność umiejętnego posługiwania się łokciem i odważnikiem. Może w takiem ustosunkowaniu się było trochę oportunistycznego romantyzmu (to zestawienie oportunizmu z romantyzmem wcale nie jest takie paradoksalne, jak to się napozór wydaje), może złożyły się na to inne jeszcze przyczyny. Nie mamy zamiaru w tej chwili przyczyn tych dociekać. Ograniczamy się jedynie do stwierdzenia faktycznego stanu rzeczy, do skonstatowania dość powszechnego zjawiska, że mickiewiczowskiem hasłem: „Cyrkla, wagi i miary do martwych użyj brył!" zasłanialiśmy się zawsze bardzo chętnie przed koniecznością bezpośredniego zetknięcia się z cyrklem, wagą i miarą.

Ten nasz pogardliwy stosunek do „martwych brył" wyraził się najplastyczniej w stosunku do szkoły zawodowej, która wzięła sobie za zadanie przygotowywanie przyszłych obywateli, umiejących przedewszystkiem dobrze ważyć i mierzyć. Kto choć cokolwiek orjentuje się w stosunkach szkolnych — wie, że marzeniem każdego przeciętnego rodzica jest zapewnienie swemu synowi możności ukończenia szkoły średniej ogólnokształcącej. I to nie dlatego, że taka szkoła daje ***ogólne wykształcenie***, ale dlate-

go, że umożliwia wstęp do wyższych uczelni, a więc umożliwia uniknięcie zetknięcia się z cyrklem, wagą i miarą.

Na szkołę zawodową przywykło się patrzeć, jako na uczelnię niższej kategorji, dobrą może dla młodzieży mniej uzdolnionej, dla „niższych" warstw społecznych, ale nigdy dla „elity"... Dlatego też unikano wszelkiemi możliwemi sposobami tej upośledzonej szkoły zawodowej, pchając się i tłocząc u progów szkoły ogólnokształcącej. Zbyteczną chyba jest rzeczą podkreślanie całej niedorzeczności takiego stosunku. Niedorzeczność ta uwypukliła się sama w dobie obecnej, w dobie panującego na całym świecie groźnego kryzysu ekonomicznego.

Może właśnie temu kryzysowi zawdzięczać należy to, że teraz poddany został gruntownej rewizji dotychczasowy stosunek społeczeństwa naszego do szkoły zawodowej. Zrozumiano nareszcie, że z dążeniem do naprawy stosunków gospodarczych idzie nierozłącznie w parze dążenie do wykształcenia szeregów przyszłych obywateli, którzyby umieli właśnie dobrze gospodarować. A takich obywateli wykształcić może przedewszystkiem dobrze zorganizowana i ciesząca się zaufaniem i poparciem ogółu szkoła zawodowa.

Niewątpliwie rezultatem rewizji poglądów w tej dziedzinie jest uchwalona ostatnio i już obowiązująca nowa ustawa o ustroju szkolnictwa, która szkolnictwu zawodowemu wyznaczyła nareszcie odpowiednie i należne mu miejsce.

„Nowa ustawa o ustroju szkolnictwa — mówił p. minister oświaty na inauguracyjnem posiedzeniu Państwowej Rady Oświecenia Publicznego — otoczyła szczególną troską szkolnictwo zawodowe, zakreślając dlań takie ramy, w których będzie mogło właściwie się rozwinąć i zająć odpowiednią do swej wagi i znaczenia pozycję na terenie pracy oświatowej. Na pierwszem miejscu postawiono postulat dostosowania naszych szkół zawodowych do potrzeb życia gospodarczego. Jest rzeczą oczywistą, że w celu wypełnienia tego najważniejszego postulatu, postawionego szkolnictwu zawodowemu w nowej ustawie o ustroju szkolnictwa, niezbędne jest oparcie polityki rozwojowej tego szkolnictwa o dokładną znajomość potrzeb życia gospodarczego kraju, z czego wynika jasno konieczność stałej i systematycznej współpracy ministerstwa oświaty z czynnikami gospodarczemi".

Można powiedzieć, że szkoła zawodowa doczekała się obecnie pełnej rehabilitacji i że skończyła się jej dotychczasowa na widocznem niezrozumieniu rzeczy oparta rola kopciuszka w szeregu szkół innych. Ta rehabilitacja zawodu jest zresztą zjawiskiem powszechnem, dającem się zaobserwować nie tylko u nas, ale i na całym świecie, zmagającym się z kryzysowemi konjunkturami.

Zagadnieniu temu poświęcił część swych obrad ostatni międzynarodowy kongres Ligi Nowego Wychowania w Nicei. Poruszono tam — między innemi— sprawę znaczenia kultury ogólnej w wychowaniu w związku z kulturą zawodową. Wypowiadali się w tej kwestji tacy mówcy, jak profesorowie Langevin i Wallon z Sorbony, prof. Piéron z Collége de France, minister oświaty de Monzie. Twierdzenie prof. Langevin'a, że „kultura ogólna łączy ludzi, zawodowa zaś ich dzieli" — stało się dominującym motywem w obradach.

Istotnie — podnosząc do należnej mu godności szkolnictwo zawodowe, nie można zapominać o tem, że w fundamentach każdej szkoły zawodowej powinny znaleźć się mocne i trwałe cegły kultury ogólnej. Nie będziemy może zbyt dalecy od prawdy, jeżeli powiemy, że wśród wielu innych (o których już wyżej była mowa) czynników odstraszających od dotychczasowej szkoły zawodowej był i ten właśnie: zbyt małe zwracanie uwagi na ową kulturę ogólną.

Dziś już sprawy te wyglądają inaczej. Szkoła zawodowa przestała już być tą ślepą uliczką, z której niema żadnego wyjścia na szerszy świat. Zgodnie z nową ustawą, przed wychowankiem szkoły zawodowej otwierają się takie same możliwości osiągnięcia wyższych szczebli w nauce, jak i przed wychowankiem szkoły ogólnokształcącej — usunięte więc zostały dotychczasowe „konkurencyjne" motywy. Ale wraz z niemi usunięte być muszą różnice wypływające z nierównego poziomu dwu odmiennych kultur.

Jeżeli słusznem jest cytowane zdanie prof. Langewin'a, że „kultura ogólna łączy ludzi, zawodowa zaś ich dzieli", to należałoby teraz, po tej rehabilitacji zawodu, wszystkie wysiłki skierować ku temu, by owa kultura ogólna pochłonęła dzielącą ludzi kulturę zawodową do tego stopnia, byśmy w życiu mieli do czynienia z jedną tylko, ale za to wielką, wszystko obejmującą *kulturą*.

Zygm. Michałowski

KONFERENCJE I ZGROMADZENIA

W ciągu ostatnich lat dwunastu odbyło się 39 zgromadzeń i konferencyj międzynarodowych, z czego 15 poświęcone było sprawom odszkodowań wojennych. 17 — kwestji naprawy gospodarczej Europy, oraz 7 poświęconych zagadnieniu rozbrojenia i bezpieczeństwa. W chronologicznym porządku zgromadzenia te i konferencje przedstawiają się następująco:

Rok 1920: — Konferencje w sprawie reparacyj wojennych w San Remo (kwiecień), Boulogne (czerwiec), Spa (lipiec), Bruksela (grudzień).

Rok 1921: — Konferencje w sprawie reparacyj wojennych w Paryżu (styczeń), Londynie (luty — marzec), Londynie (maj).

Rok 1922: — Konferencja w sprawie ograniczenia zbrojeń morskich w Waszyngtonie (listopad 1921 — luty 1922); Pakt gwarancyjny francusko-angielski zawarty w Cannes (styczeń); Konferencje przygotowawcze do Konferencji Genueńskiej w Londynie (marzec); Pierwsza wielka Konferencja poświęcona rekonstrukcji gospodarczej w Genui (kwiecień — maj); Konferencje ekspertów w związku z uchwałami Konferencji Genueńskiej — Haga (czerwiec — lipiec); Zgromadzenie w sprawie granicy celnej na Renie — Londyn (sierpień); Zgromadzenie w sprawie kontroli finansowej nad Rzeszą Niem. — Londyn (grudzień).

Rok 1923: — Konferencja francusko-angielska w Paryżu (styczeń).

Rok 1924: — Konferencja w sprawie ewakuacji Ruhr'y. Przyjęcie planu Dawes'a — Londyn (czerwiec — sierpień).

Rok 1925: — Pakt bezpieczeństwa i gwarancji granic, zawarty między państwami sprzymierzonemi i Niemcami, — Lokarno (październik) — Londyn (grudzień).

Rok 1927: — Światowa konferencja gospodarcza

w Genewie (maj); Konferencja w sprawie zbrojeń morskich w Genewie (czerwiec — sierpień).

Rok 1928: — Uroczyste podpisanie paktu wyrzeczenia się wojny — Paryż (sierpień).

Rok 1929: — Ugoda w sprawie ewakuacji Nadrenji oraz dyskusja nad planem Young'a — Haga (sierpień).

Rok 1930: — Druga sesja konferencji reglamentacyjnej w sprawie planu Young'a, oraz umowa w sprawie Banku Wypłat międzynarodowych — Haga (styczeń); Konferencja morska w Londynie (styczeń — kwiecień); zgromadzenie przedstawicieli Węgier, Jugosławji i Rumunji w sprawie nadwyżki produkcji rolnej — Bukareszt (lipiec); Pierwsza Konferencja Ośmiu państw rolniczych w Warszawie (sierpień).

Rok 1931: — Konferencja w sprawie Unji Europejskiej w Genewie (styczeń); Międz. Konferencja Rolna w Rzymie (marzec); Konferencja w sprawie Unji Europejskiej, rozpatrzenie „spraw naddunajskich", uchwały w sprawie kredytu hypotecznego — Genewa (maj); Konferencja państw eksportujących zboże w Londynie (maj); Debata nad moratorjum Hoovera w Londynie (lipiec); Druga Konferencja Państw rolniczych Europy środkowej i wschodniej w Sofji (grudzień).

Rok 1932: — Plenarne Zgromadzenie Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie (luty—marzec); ponowne zgromadzenie Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie (kwiecień — lipiec); Dyskusja w sprawie pomocy krajom naddunajskim — Londyn (kwiecień); Francusko-Angielski pakt zaufania, nowy plan wypłaty odszkodowań wojennych — Lozanna (czerwiec — lipiec); Porozumienie państw rolniczych Europy środ. i zachod. w Warszawie (sierpień); Konferencja w sprawie naprawy gospodarczej krajów Europy środ. i zachod. w Stresie (wrzesień); Konferencja Komitetu Unji Europejskiej w Genewie (wrzesień — październik); Pierwsze zgromadzenie komitetu przygotowawczego do Światowej Konferencji Gospodarczej — Genewa (październik — listopad).

SZNUR JARZĘBIN

Nikt nie znał ceny owego sznura jarzębin, jednego z ośmiu, które Zośka któregoś ranka przyniosła do klasy.

Wydawać by się mogło napozór, że sznur taki, zwyczajna, szara nić na którą nawleczono czerwone jagódki, jest zgoła bez wartości, że niema żadnej ceny. A jednak. Cena zapłacona przez Marteczkę była bardzo wysoka, może aż za wysoka na jej słabe, dziewięcioletnie siły.

Co gorsza, nie dowiedział się nikt nigdy o bezpośrednim, najściślejszym związku, jaki łączył owe jarzębiny z dziwnym niesamowitym faktem odzyskania przez prawowite właścicielki, różnych drobnych, od dłuższego czasu ginących przedmiotów.

Szklane kulki — mają swoją wartość. Można je wymienić za obrazki, za szmatki dla lalek, za kolorowe ołówki.

Budzą pożądanie samym swym wyglądem. Przejrzyste, z wijącemi się gdzieniegdzie barwnemi smugami. Z każdej strony inne. W dotknięciu chłodne, gładkie, okrągłe. Niewiadomo skąd się biorą i do czego służą? Do zabawy? Do patrzenia? Do zamiany? Do tego, aby być w piórniku. I oto z piórników ginęły.

Kolorowe obrazki, nalepianki, bukiet kwiatów, motyl srebrny, para całujących się dzióbkami gołąbków, dziewczynka z listem w ręce. I różne drobne, które można przylepić na ostatniej stronicy książki. Nalepianki, przedmiot sporów, targów, długotrwałych gniewów i nagle zawiązujących się przyjaźni.

Ginęły z książek, zeszytów, podobnie, jak kulki szklane, jak papierowe zakładki, stare, wytarte monety i inne drobne przedmioty, rozpraszające nudę szkolnych godzin.

W klasie, nikt nie nazywał rzeczy tej po imieniu. Żadna dziewczynka nie mówiła:—ktoś mi skradł kulkę szklaną, lecz — znowu mi się zgubiła kulka, — znów mi się gdzieś podziała najładniejsza nalepianka. Choć jasnem było, że ani kulki, ani nalepianki same nigdzie się podziewać nie mogły. Czyjaś ręka wyławiała je skrzętnie z książek i z piórników w chwilach nieuwagi, w czasie przerw, w tysiącu innych momentów. Jedna jedyna Marteczka wiedziała, że była to ręka Zośki.

Wiedza o tem przyszła niespodzianie jakiegoś ranka, gdy Marta miała dyżur w czasie przerwy. Dziewczynki wszystkie już wyszły, tylko Zośka coś jeszcze gmerała pod ławką. Marteczka otwierała okno. I wtedy, w czarnej lustrzanej tafli, jaką utworzyła odchylona szyba, dojrzała, jak Zośka wychodząc już z klasy, pochyliła się nad jedną z ławek i sięgnęła ku czemuś ręką.

Obraz, jak szybko się pojawił, równie szybko zniknął, zarówno w szybie okiennej, jak i w umyśle Marteczki. Wyłonił się z jej pamięci dopiero w chwili gdy Irenka pakując książki po ostatnim dzwonku, powiedziała: — Dzisiaj znowu zgubiła mi się gdzieś kulka. A Irenka siedziała w tej właśnie ławce nad którą pochyliła się Zośka.

Odkrycie to napełniło Marteczkę lękiem i zgrozą. Ale i zdumieniem. Czyż to możliwe? Może tak się jej tylko zdawało? Czyż to możliwe, aby Zośka, nie, wogóle jakaś dziewczynka mogła rzecz taką czynić?! I co teraz ona, Marteczka ma czynić, skoro już o tem wie? Bo nie, nie myliła się przecie. Powiedzieć o tem komu? Pani? Nie, nie pani, chyba raczej Zośce. Lecz jakże to wymówić: — wzięłaś! — ukradłaś! — To są okropne słowa. Nie wiedziała Marteczka co czynić.

A potem, właśnie na drugi dzień potem, zaczęła się sprawa sznura jarzębin.

Jarzębinowe korale pachną lasem i mają cierpki, dziwny smak. Gdy są nawleczone na nitkę, można je nosić na szyi, albo owijać na ręce, jak branzolety. Jarzębinowe korale — któż o tem nie wie — są najpiękniejsze w świecie! Klasa o tem wiedziała i zazdrościła Zośce. Nie tak łatwo w mieście o jarzębiny. Ale Zośka była zachłanna. Nie chciała słyszeć o żadnej zamianie. Korale przyniosła ot, tak sobie, aby się pochwalić. Osiem długich sznurów. Wyciągała je z pod ławki na każdej przerwie, ubierała na szyję i biegała w nich po korytarzu. A dziewczynki wołały za nią: — krakowianka, krakowianka!

Marteczka siedziała w ławie tuż przed Zośką. Ławki były dziwne i niepraktyczne. Miały szpary przez całą długość przedniej ścianki. Znaczenia tych szpar nikt nigdy nie rozumiał, bo chyba nie po to były, by wylatywały przez nie zeszyty i książki i trzeba było

z podłogi podnosić. I nie po to, też, by uczynić to, co zrobiła Marteczka: Oto na lekcji historji, siedząc z rękoma w tył, poczuła nagle pod palcami chłodne, delikatne, krągłe dotknięcie jarzębin. Jeden z sznurów wysunął się nieco i pchał się sam, nieomal gwałtem w ręce Marty. Marteczka nie oparła się pokusie.

Pani mówiła o Kaźmierzu Wielkim. Już wybudował spichrze, sukiennice, już założył Akademję w Krakowie, a sznur jarzębinowy jeszcze ciągnął się i ciągnął, aksamitnie łaskocząc palce Marty. Jakimże cudem zmieścił się cały w małej piąstce? I jakim cudem klasa cała nie posłyszała straszliwych, mocnych uderzeń serca, towarzyszących złemu uczynkowi? Bo przecie w chwili, gdy czerwone, pachnące lasem jagódki znalazły się pod chustką do nosa w kieszeni czarnego, satynowego fartuszka, wiedziała już Marteczka, że popełniła zły czyn. Czyn tem gorszy, że nic już teraz Zośce powiedzieć nie może, nie ma prawa, sama jest taką jak Zośka — a może może nawet gorszą?

Siedziała cicho w ławce przerażona tem co się stało. Nie było w niej już miłej radości posiadania. Przedtem, gdy Zośka pokazywała korale, Marteczka cała drżała! Takie były piękne! Ubrać je na szyję i w nich chodzić, patrząc od czasu do czasu do lusterka! Albo owinąć je na rękach, lub opasać niemi głowę jak koroną! Teraz — korale nieznośnie obciążały kieszeń, — stawały się czemś nienawistnem. Jak najprędzej, jak najprędzej ich się pozbyć!

Marteczka wracała ze szkoły okrężną drogą, by nie iść z koleżankami. Zatrzymała się przy willi z ogrodem. Na bramie był napis. — Uwaga — tu zły pies. Marteczka rozejrzała się. Nikogo nie było. Stanęła na kamiennem podmurowaniu i z rozmachem cisnęła jerzębinowy sznur górą, ponad siatkę żelazną. Za siatką rosły nieduże sosenki. Na gałęzi jednej z nich zawisł na chwilę i zsunął się powoli, bezszelestnie między trawy. Nie było go już widać Marteczka odetchnęła i zeskoczywszy z podmurowania pędem pobiegła do domu.

Ale zło dopiero się zaczęło. Ów nieznośny ciężar, który Marta czuła w kieszeni fartuszka, a który rzuciła w ogród przydrożnej willi, w jakiś przedziwny, i nic ze zdrowym sensem nie mający wspólnego sposób, nie leżał teraz na trawie, u stóp małej sosny. Leżał na sercu Marty. Jarzębinowe korale zmieniły się w sznur ostrych, twardych kamieni, boleśnie raniących każdą myśl, uciskających serce, aż do utraty tchu. Marteczka chodziła blada i jakby lekko pochylona pod ich ciężarem. Gdy któraś z dziewczynek mówiła o jakiejś nowej zgubie, czy stracie, Marta czerwieniła się i bladła naprzemian, a ciężar leżący na sercu stawał się wprost nie do zniesienia. Choć przecie to nie jej tyczyło! Choć wiedziała, ona jedna w klasie wiedziała, że to — Zośka.

Zośka zaś nie zauważyła wcale braku sznura jarzębin. Nie przynosiła ich już więcej do szkoły i nikt o jarzębinach nie myślał, prócz małej Marty.

Śniły jej się po nocach. Czerwone, gładkie, pachnące lasem i jesienią. Było ich nieskończenie dużo Toczyły się po jakiejś dziwnej, pochyłej, nieistniejącej równi, z cichutkim szurgotem. A potem nagle zaczynały pęcznieć, rosnąć, osnuwać się przejrzystością i oto nie było już jarzębin, tylko tysiące, miljony, wartko toczących się szklanych kulek. Poczynały dźwięczeć. Najpierw cicho, srebrzyście, potem coraz mocniej, coraz głośniej, aż wreszcie dźwięk ten zamieniał się w przeraźliwy łoskot strasznego, szklanego morza, które ze wszech stron zbliżało się, olbrzymiało, rosło, aż wciągnęło Marteczkę w wirujący krąg, w bezdeń potworną, w otchłań.

Marteczka budziła się z krzykiem, spotniała i przerażona. Jednego dnia, gdy ciężar gniotący jej serce stał się już całkiem nie do zniesienia, poszła Marteczka do spowiedzi. Powiedziała głośnym szeptem, wyraźnie: — ukradłam koleżance korale! — i czekała straszliwego wyroku. Może niedostanie rozgrzeszenia? Ale ksiądz zapytał: — Jakie korale? — Gdy zaś Marteczka dodała: — z jarzębiny! — ksiądz wyjął chustkę, starannie wytarł nos, a potem, jakby o tych koralach nie słyszał, jakby to było nic — mówił tylko o konieczności posłuszeństwa względem rodziców, o tem, że codzień trzeba pacierz mówić, — o wszystkich drobnych, powszednich grzechach mówił, a o tym jednym, najcięższym, jakby zapomniał, jakby to było nic!

Marteczka wstała od konfensjonału spłakana i drżąca. Słyszała wyraźnie tajemnicze, łacińskie słowa rozgrzeszenia i wiedziała, że może iść do komunji, a jednak ciężar z serca nie ustąpił. Podchodził aż do gardła i dusił boleśnie. I gdy tak klęczała na zimnej posadzce kościelnej, odczytując z małej książeczki „modlitwy po spowiedzi", zrozumiała nagle, że trzeba o tym grzechu powiedzieć Zośce. Jej właśnie, bo jej własnością były korale.

Spowiedź jest sprawą przerażającą. Lecz stokroć straszniejszą jest taka rozmowa z koleżanką. Gdy Marteczka, podszedłszy do Zośki na przerwie, powiedziała: — Chodź ze mną, chcę ci coś ważnego powiedzieć — czuła że ogarnia ją ze wszech stron owo szczęśliwe, znane ze snu morze. Ów szum w uszach, czyż to nie był jego łoskot? A potem, gdy już to najstraszniejsze minęło, gdy słowami własnemi się dławiąc, powiedziała, powiedziała wszystko o tych koralach, stała się jakaś rzecz dziwna.

Były oto jakby dwie Marteczki. Ta jedna, malutka, z zapłakanemi niebieskiemi oczkami, oparta o mur stała przed dużą, rozrosłą Zośką i słyszała jak ta mówiła: Ty złodziejko! — I druga jakaś Marteczka, która niewiadomo skąd w niej się wzięła i nagle w tej małej Marcie poczęła rosnąć, rosnąć, aż stała się jakby wyższa od Zośki, od samej pani nawet.

I ta druga Marta nie miała już żadnego ciężaru na sercu, tak jakby kamień uciskający je od tylu tygodni nigdy nie istniał, i jakby to słowo „złodziejka", teraz, w tej właśnie chwili, nie wyrażało już żadnej treści, co najwyżej znaczyło tyle, co krzesło, stół lub tablica.

I ta duża Marta, stojąc teraz przed Zośką, patrzyła jej prosto w oczy i mówiła całkiem spokojnie: — Nie bój się! Ja ci te korale zwrócę! Ja wiem, że zawsze rzecz zabraną trzeba oddać!

A wtedy Zośka zaczerwieniła się nagle i zatrzepotała śmiesznie powiekami — i — jakby chciała coś powiedzieć, ale przełknęła tylko ślinę i odwróciła się od Marteczki.

Zaraz potem był dzwonek i godzina przyrody.

Marteczka obiecała Zośce oddać korale. Nie była to rzecz łatwa! Należało pójść do ogrodu willi, na której furcie był napis: — „Uwaga — tu zły pies" — i zabrać sznur jarzębin, rzucony tam przed tygodniem. Mała Marteczka nie byłaby potrafiła nigdy tego uczynić. Ale małej Marteczki już nie było. Była tylko duża Marta, choć niby całkiem ta sama, z niebieskiemi oczkami i cienkim złotym warkoczykiem, związanym granatową wstążką.

Było to bardzo nieprzyjemnie iść do cudzej willi. Padał deszcz i żelazna klamka była mokra i jakby lepka w dotknięciu. I gdy tylko Marteczka weszła poza bramę, rozległo się natarczywe, złe, ujadanie psa. Marteczka znieruchomiała. Przez trawnik gnał ku niej wielki dog, lecz nim zdążył rzucić się na struchlałą dziewczynkę, rozległo się wołanie: — Leżeć. nie rusz, Nero — i pies znieruchomiał w biegu. Ukazała się obca pani, w grubym szkockim pledzie, ze zdziwieniem patrzyła na Marteczkę i pytała — a skąd — a poco — a gdzie.

Więc Marteczka mówiła: że rzuciła tu korale, tak, sznurek jarzębinowych korali, i musi je teraz zabrać z powrotem.

Pani poszła z Marteczką przez trawnik, ku małym sosenkom. Marteczka schyliła się, podniosła sznur jarzębin — i wtedy — zaczęła płakać. Płynęły śmieszne dziecinne łzy po różowej buzi, granatowym płaszczyku, i łączyły się z kroplami jesiennego dżdżu.

Marteczka płakała, bo to, co trzymała w ręku, to nie był już sznur pięknych jarzębin! To były ohydne, na pół przegniłe, zczerniałe gruzełki, nawleczone na nitkę rozłażącą się, brudną, lepką.

Obca pani śmiała się jednak. Miała siwe włosy i dobrą, łagodną twarz. Wzięła Marteczkę za rękę i zaprowadziła do siebie. Dała jej wypić szklankę ciepłego mleka, bo widziała, że dziewczynka drży. A potem, z małej kasetki wyjęła sznur korali, prawdziwy sznur korali, szklanych, czerwonych, błyszczących i dała je Marteczce.

Popołudniu — Marta zaniosła korale te Zośce.

Na drugi dzień w klasie, stała się rzecz dziwna i nieoczekiwana: — „Znalazły się" szklane kulki, nalepianki i wszystkie drobne przedmioty, które dawniej „gdzieś się podziały". Dziewczynki nie zwróciły uwagi, że stało się to bezpośrednio po lekcji gimnastyki. Jedna tylko Marteczka to zauważyła, jak również i to, że właśnie na początku godziny Zośka wyszła na chwilę z sali, po zapomnianą w klasie piłkę do ćwiczeń rytmicznych. I że dość długo nie wracała.

Olga Ustupska

PRZEGLĄD POLITYCZNY

W chwili, gdy wszystkie państwa Europy i Ameryki biedzą się nad swemi budżetami, dążąc do ich zrównoważenia, dobrze jest stwierdzić, że stan rzeczy wszędzie nieomal powoduje zjawiska analogiczne, podobne myśli, podobne „skuteczne rad sposoby". Czy to będzie państwo wielkie, czy małe, większe, czy t. zw. średnie, zjawiają się w niem te same pomysły i jednakowe skutki.

Oficjalny organ rządu portugalskiego „*Diario da Manha*", poczynił np. niedawno takie wyznania:

— „Każdy dzień przekonywuje nas, że dyktatura narodowa przechodzi nową fazę swojej historji, fazę jasnej i stopniowej konsolidacji. Nie zna ona już takich, jak w przeszłości wahań, idzie naprzód krokiem twardym i pewnym i teren zdobyty przez nią w umysłach rozszerza się z dnia na dzień".

A dlaczego nadszedł taki okres szczęśliwości? Dlatego, że jak to słusznie powiedział Mussolini: „Jedyną troskę i zasadniczy przymiot rządu siły można określić jednem słowem — trwać".

Aby przekonać się, co czyni dyktatura portugalska m. i. żeby zrealizować swój krótki i jasny program — „trwać", warto zajrzeć do gazet hiszpańskich — republikańskich, które wprawdzie bez specjalnej sympatji sąsiedzkiej, ale i bez wrogiej przesady donoszą o tem, co dzieje się w Portugalji.

„*Luz*", madrycki pisze obszernie o ostatnim budżecie premjera i ministra finansów Portugalji p. Oliveira de Salazar, który dzierży władzę przy boku dyktatora gen. Carmony.

Budżet na 1932-33 rok wynosił w wydatkach z górą 2 miljardy eskudów, w tem 471 miljonów na armję i flotę, 108 miljonów na budowę okrętów, 98 miljonów na służbę bezpieczeństwa (policję, żandarmerję), a więc ogółem przeszło jedną trzecią wydatków pochłaniają zbrojenia i policja.

Prezentując ten budżet krajowi p. Oliveira Salazar oświadczył:

— Armja i marynarka zajmują w wydatkach sumy niedostosowane proporcjonalnie do całości, ale zjawisko to jest usprawiedliwione: kraj ma wielki dług względem wojska, i jeżeli korzysta ono z pewnych przywilejów, to opłaca je sowicie przez wielką służbę dla sprawy porządku i ideału narodowego".

Zmierzające w kierunku, zakreślonym przez Portugalczyków rządy Hitlera w Niemczech także na pierwsze miejsce swego programu, na pierwsze zresztą i jedyne poza frazesami, wysuwają wielkie słowo — trwać jak najdłużej, a conajmniej 4 lata! Cyfra ta zresztą w ustach zachwyconych adjutantów „Führera" rośnie, dochodzi nietylko do 10, ale nawet i do 500 lat.

Na razie dla tego trwania robi się, co się da: zarzucono więc wszystkie plany Schleichera i Brüninga, dotyczące rozstrzygania zagadnień socjalnych, nie mówi się już ani o bezrobociu, ani o kolonizacji, zostaje tylko rozdawanie posad i pieniędzy — swoim ludziom, wznoszenie coraz wyższych barjer celnych dla produktów rolniczych i krzyki odwetowe na zewnątrz, hamowane przez wymuszone sprostowania.

Czy ten kompleks działań „jedynego prawdziwego narodowego rządu", który ma „odrodzić" Niemcy po 14 latach konstytucji wejmarskiej, wystarczy dla zebrania większości głosów w dn. 4 marca, to chyba wątpliwe.

Pod presją mas ludowych tworzy się w Niemczech jednolity front robotniczy, o którym, jako o celu trudnym do osiągnięcia, tak niedawno jeszcze mówili i Loebe i Bauer.

Narazie nawet najbardziej życzliwie usposobieni dla odwetowych zamiarów Hitlera Niemcy wyrażają wątpliwości w skuteczność jego akcji na terenie międzynarodowym.

A Niemcy myślący logicznie i trzeźwo sądzą wraz z Hellmutem von Gerlachem, że „nie ulega wątpliwości, iż dziś korytarz jest ziemią polską, bo zamieszkałą w 85% przez Polaków".

— „Czas — pisze von Gerlach — jeszcze wzmocnił w Polakach poczucie własności narodowej: wszyscy w Polsce, nie wyłączając socjalistów, uważają Pomorze za równie bezsporną własność, jak Warszawę i Kraków. Niemcy nie doceniają znaczenia tej jednomyślności".

„Niemcy nie mogłyby popełnić większego błędu — kończy von Gerlach swe wywody w „Weltbühne" — niż wysuwając żądania rewizyjne na konferencji rozbrojeniowej. Byłaby to zabawa z ogniem przy otwartych beczkach prochu".

***

Rząd Edwarda Daladier'a, któremu w części prasy paryskiej, niechętnej dla kartelu lewicy i szczególniej w prasie warszawskiej prorokowano krótkie życie, wyszedł zwycięsko z pierwszej i najtrudniejszej próby. Budżet na marzec wraz z projektem uzdrowienia finansów został uchwalony przez Izbę. Przytem większość, która stanęła przy rządzie, składała się ze skazanego już na rozwód lub śmierć kartelu lewicowego.

Nie łatwo było dojść do tego porozumienia, ale znaleziono drogę. Ciężar wzrostu podatków przełożono na więcej mających i w ten sposób socjaliści, którzy bronili od redukcji uposażenia drobne i średnie, mogli z czystem sumieniem oddać głosy za „burżuazyjnym" rządem Daladier'a. Reżim parlamentarny wytrzymał próbę, Trzecia Republika nie rozpadła się i nie trzeba było wzywać na pomoc na białym koniu, ani pretendenta do korony, ani cywilnego dyktatora.

Powiększenie podatku od dochodów stałych spadło na płace, wynoszące conajmniej 20.000 fr. rocznie, o ile płaca ta nie powstała z poprzednio już stosowanych redukcji. Wysokie zwiększenie podatku spada na płace wynoszące 100.000 i więcej franków rocznie, a więc płace, pobierane przez dostojników różnych przedsiębiorstw przemysłowych, dyrektorów banków i t. p.

Naturalnie, że i w tej formie podatek kryzysowy nie może przejść bez wrażenia we Francji, gdzie liczne są szeregi dobrze zarabiających, związanych płacą stałą z handlem, przemysłem i finansami.

Ustawa Daladier'a jest istotnie małą rewolucją gospodarczą dla Francji. Jest to jednak posunięcie legalizujące ewolucję stosunków, czasem niedostrzegalną początkowo, a uderzającą, kiedy zjawisko już istnieje w całej pełni.

***

Jedną z takich przemian, które dokonały się, a obecnie uderzają w oczy każdego, jest flamandyzacja Belgji. Prasa zarówno francuska, jak angielska stwierdzają, że duch ten zaszedł bardzo daleko. Dla obcokrajowca, który znał Belgję przedwojenną, zmiany jakich tu dokonano są poprostu niezwykłe. W Antwerpji np. nie można się już rozmówić po — walońsku, t. j. po francusku. Gandawa i Louvain z ich wielkiemi uczelniami są zupełnie sflamandyzowane. Na czele ruchu narodowego Flamandów kroczy młodzież.

Za kilkanaście, albo nawet za kilka lat oblicze Belgji będzie zupełnie zmienione.

***

Pomimo szczerej sympatji i ściśle przestrzeganego sojuszu z wielką troską zwraca uwagę dyplomacja francuska na Jugosławję. Dojrzewające tam pod kloszem dyktatury przemiany muszą budzić czujność.

Nie dawno „Le Temps" w artykule wstępnym o Bałkanach zauważył, że w czasach, gdy tyle gromadzi się materjału palnego w Europie południowo-wschodniej, byłoby „rzeczą opłakaną", gdyby stan wewnętrzny w Jugosławji m. i osłabiał Małą Ententę.

A istotnie zachodzą dwie i znamienne przemiany w Jugosławji. W parlamencie wybranym po faszystowsku na rozkaz zgóry zjawiają się ludzie, którzy znajdują w sobie dość poczucia sumienia i odwagi cywilnej, aby odejść od stołu rządowego. Dowodem takiej odwagi cywilnej, świadczącej dodatnio o wyrobieniu politycznem i moralnem społeczeństwa jest interpelacja, zgłoszona w Skupszczinie przez posła d-ra Nikicza, który należał jeszcze niedawno do grupy rządowej, a dziś zapytuje, dlaczego z pogwałceniem praw porwano i internowano po różnych dziurach przywódców opozycji pp. Maczka, Koroszca, Kulowca, Natalczena, Ohryzka i innych.

Interpelanci pytają, czy „pan minister zechce natychmiast przywrócić dr. Koroszcowi, dr. Maczkowi i innym wolność, której ich bezprawnie pozbawiono..."

Co stanie się z tą interpelacją, nie wiemy. Czy wypadkiem i jej autorzy nie będą zmuszeni opuścić Belgrad? W każdym razie dokument ten jest dowodem sił żywotnych, sił narodu Jugosławji i stwierdzeniem jego dojrzałości do życia swobodnego w ramach legalności.

St. Gr.

SKUTECZNA DROGA

Znaną jest już dzisiaj prawdą, że tem dotkliwiej odczuwa dany kraj kryzys gospodarczy, im bardziej udało mu się rozwinąć produkcję przemysłową po wojnie światowej.

W krajach bardzo uprzemysłowionych rozwinięta jest odpowiednio sieć sprzedaży. W miarę wzmagania się kryzysu i zubożenia szerokich mas spożywców, w krajach bardziej uprzemysłowionych nie można już było rozszerzyć wyzyskanego do maksimum rynku wewnętrznego. To też przemysłowcy poszli w kierunku ograniczenia produkcji i podwyższenia cen.

Ta polityka gospodarcza coraz bardziej zawodzi. W pewnym stopniu i nie zawiodła jedynie w stosunku do artykułów i używek pierwszej potrzeby. Do nich między in. należy tytoń.

Jeszcze w ubiegłym roku Czechosłowacja np. podniosła ceny wyrobów tytoniowych, bo ma siłę sprzedaży tak rozwiniętą, że niewiele mogła już zrobić w kierunku rozszerzenia zbytu wewnętrznego.

U nas konieczności tej uniknięto, gdyż nie mamy jeszcze dostatecznie wyzyskanego rynku. Możemy sobie, naprzykład pozwolić na taki luksus, jak zakazy palenia w większości instytucyj państwowych (nie mówiąc już o prywatnych), w kinach, teatrach, na wystawach t. p. To jest zbytek, na który niewiele krajów może sobie pozwolić. Wprawdzie monopol tytoniowy reorganizuje sieć sprzedaży, obniża ceny papierosów itd. Jednakże prędzej czy później zrozumieć musimy, że zniesienie krępujących zakazów wszędzie, gdzie palenie nie stanowi niebezpieczeństwa, jest jedną z skutecznych dróg rozszerzenia rynku zbytu dla artykułu, który daje skarbowi w roku kryzysowym 350 miljonów złotych czystego dochodu.

M. L-ski

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu E. T. we Lwowie. Zaadresował Pan kopertę w ten sposób: „Do Szanownego Kosza redakcji Epoki". My również szanujemy nasz kosz, który ułatwia nam pracę i cierpliwie pochłania różne literackie różności. Uprzedza Pan w liście: „Nie zajmuję się nigdy pisaniną, ale pragnę, aby to opowiadanie, ilustrujące pewne charakterystyczne objawy naszego współczesnego życia, ujrzało światło dzienne". I dalej: „Może wymagam zbyt dużo odwagi cywilnej od pisma, by mówiło prawdę, nie licząc się z nastrojami czy psychozą(?) większości czytelników".

Drogi Panie! Prawdy nie boimy się, odwagi nam nie brak, ale drukowanie opowiadań ludzi nie zajmujących się „pisaniną" i pozbawionych talentu, byłby to z naszej strony już nadmiar... odwagi. List Pana był dobrze zaadresowany. A biednej bohaterce pańskiej noweli gorąco współczujemy. Szelma ten Zdzisław! Tak skrzywdzić kobietę!

Od Administracji

Donoszą nam, że niektórzy sprzedawcy »Epoki« bezprawnie wypożyczają nasze pismo. Wypożyczanie to, tak za opłatą, jak i bezpłatnie, stanowi nadużycie przewidziane przez kodeks karny.

Wypożyczanie pisma spowoduje skargę karną zarówno przeciw niesumiennym sprzedawcom, jak i przeciw osobom, korzystającym z tego nadużycia.

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-123 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.